

skiego. Biedni dyplomaci, oni są dotąd nie wiedzą, że kwestja wschodnia jeśli nie będzie rozstrzygnięta za Dawina, Sosem i Desna, znajdzie swe rozwiązanie nad Odrą i średnią Danajem!

Z lwowskiej Rady miejskiej.

Posiedzenie 12 sierpnia. Obecnych radnych 57. Przewodniczący, prezydent miasta dr. Gnoński.

Radny Graffi otrzymuje urlop na trzy tygodnie.

Zgodnie z wnioskiem sekcji, a ze względu na niedogodności na jakie narazona jest miejska szkoła wydziałowa żeńska w domu Lewakowskich — uchwalono przeniesienie tej szkoły do ratusza, mianowicie do lokalności zajmowanych obecnie przez szkołę im. Piramowicza; i na mieszkanie dla dyrektora tejże szkoły. W domu Lewakowskiego zaś pomieszczyć się szkoła Piramowicza, jestto bowiem sakatka mekka, wzniesiona przeto wyżej niedogodności nie będą dla niej istniały.

Następnie zatwierdzono siedm rekursów w sprawach budowniczych. Przy tej sposobności prozorni jesteśmy przez kilku członków Rady, o zwrócenie uwagi pp. referentów magistratu, aby w operacjach tego rodzaju, przedkładanych pod uchwałę pełnej Rady, zechcieli zastanowić się do nowych nazw ulic i numerów domów, a nie ograniczali się na dawnych numerach policyjnych. Rzeczywiście, dziwnym się wydaje, że gdy z nowymi nazwami ulic, zaprowadzonymi od lat siedmiu, oswoiła się już publiczność, jeden tylko magistrat, który powinien być najgorliwym wykonawcą uchwał przełożonej swej władzy, jaką jest reprezentacja miasta, uporczywie trzyma się starej rutyny, czy to z lekceważenia, czy też w skutek biurokratycznej zacietoczenia. — Przy zatwierdzeniu rekursów w sprawach budowniczych, rzecz ta nie jest bynajmniej podrzędnej wagi. Na porządku dziennym stoi n. p. rekurs właściciela realności pod l. 590/1, albo 661/1. Mądry będzie kto zgadnie, gdzie szukać tych domów, żeby następnie przekończyć się o rzeczywistym ich stanie; po większej części sprawy takie uchwalane być muszą w Radzie *in forma magistri*, na słowo referenta właściwego, chociaż niejednokrotnie byliśmy świadkami, że gdy wypadkowe na ścieżce któregoś z członków Rady sprawodawca wymienił dokładną ulicę i dom, wyrażała się dyskusja i najczęściej zapadała uchwała wprost przeciwna wnioskowi sekcji. — Spodziewamy się, że p. prezydent poleci usunąć tę nieprawidłowość, opartą jedynie na biurokratycznej tradycji.

P. Kornel Kawecki, rodem z Przemysła, naczelny tańców, od lat przeszło dziesięć zamieszkały we Lwowie, przyjeżdża do związku gminy tutajszej za opłatą taksy 20 zł., a zarazem udzielono mu obywatelstwo m. Lwowa za opłatą 30 zł.

Nad prośbą Towarzystwa strzelców austriackich we Wiedniu o datkę z funduszu gwintynnych, Rada przechodzi do porządku dziennego.

Uchwalono wybrać komisję z 5 członków dla zbadania stanu ulic na Podzamczu i niedogodności powstałych tamże w skutek zbudowania dworca kolei. Wybór nastąpi na przyszłym posiedzeniu.

Przyjęto wnioski sekcji w sprawie ściągania 10 proc. oszczędności ze złożeń pompierskich (według tekstu porządku dziennego) ale o co tam sło rzeczywiście, tego ani Rada, ani p. referent, ani sprawodawcy nie wiedzą. Zresztą, mniejsza o to, kiedy, jak powiedzieliśmy, wniosek sekcji utrzymał się i to znaczną większością!

Po wyczerpaniu w ciągu jednej godziny całego porządku dziennego, przewodniczący zarządził o godzinie 8. posiedzenie tajne.

Uroczystości w Cherbourg.

Cherbourg jest miastem średniej wielkości, na północnym krańcu normandzkiego półwyspu, który swymi bogactwami w żelazo i polne zniszczenia wielką się głęboko w morze, i tak zbliża do brzegów Brytanii, że kasi do skoku na jej mgliste ziemie, jak to zrobił Wilhelm Zdobywca, i na odwrót nęci Anglików, którzy też przybiegli do pięknej ziemi francuskiej po dumnego „małego kaprala“.

U podnóża pagórków, które w niejakiej odległości odległości otaczają warowniami zatkot, wita tarasem wysoka skała, od południa najpiękniejszą pokrytą zieleńią, a ku morzu skalistą, nagim i sarowem odwróconą obliczem. U maszytu skały wznosi się silna mury La Montagne i furtka du Roulle. Pod skrzydłami furtki rozłożyło się miasto, zbudowane w sobie na prawo mały dok dla statków handlowych. Największą jednak rzeczą jest obszerny port wojenny, który mieści w sobie obecnie sześć wielkich pancerników, dziesięć krążników i korwet, i dwa małe statki. Około doków ugrupowały się największe domy i najpiękniejsze hotele miasta. Wszystko

skromne, jednokształtne, bez pretensji do stylu i gustu. W mieście po prostu nudno, nawet tam, gdzie wszystko błyszczą od pysznych chorągwi. Dopiero kiedy ciemności nocne zapadną, i czerwone, białe i błękitne lamp girlandy w tysiącach żyzgach nad ulicami błyszczą, i różnobarwnymi światłami ożywią i oświecą tysiączne tłumy tam i sam falujące, widz odnosi miłe i uroczne wrażenie. Wieczorem, w chwili przybycia pociągu, wiozącego prezydenta i jego orszak z Paryża, był oczywiście ściek najwięcej. Człowiekiem, przybywającego wozem na tę uroczystość, chwytali na pierwszy ogień kobiety między siebie, obnarżając dogodne mieszkania; dopiero uwolniony się od tej protekcji bab i różnego rodzaju urwisów, skorych do rozmaitych posług, i dostawczy do jakiegokolwiek hotelu, zaczyna przybysza żółtawo, że nie postuchał którejś z kumoszek, albowiem gospodarze hotelowi sami byli zmieszani albo odsyłać pasażerów z kwitkami, albo dawać im pomieszkania *en ville*, tj. izdebki w oficynach, dokąd dostawczy się po zawrotach wąskich schodków i przesmykami ślimakowatych sionek i korytarzy, zbudowanych starym stylem z kamienia, trzeba było w końcu uprzejmie podziękować i oświadczyć, że tu przecie mieszkać nie można. Ulokowawszy się wreszcie jako tako w wielkim trudem i mozolem, pospieszyli się oglądnięć pochód z pochodniami.

Na ulicach wszędzie wie życie w całej pełni. 30-tysięczna ludność Cherbourg była niezmiernie aszczelniejsza, że w tej chwili jest ośm wypadków we Francji, i duszą i ciałem była tam zajęta i zaprzęgnięta. Toż trzynastę tysięcy gości trzeba było ogłosić, a między tymi takiego prezenta rzeczypospolitej, Gambetta, prezydenta senatu, i szpicy ministrów, a wreszcie kilka tysięcy wyfraczonych orderowiczów. Cherbourgcy przeciągając wszystkiemi ulicami, zdradzali swój charakter ludności miejsczka robocznego, które nie wywołało się jeszcze z parafianizacji i jakiegoś wiejskiego prowincjonalizmu. Tu i ówdzie dumnie przechadzało się grono żołnierzy w malowniczych, błyszczących uniformach, i majtkowych w ciemno-błękitnym aksamicie. W szeregach po sześciu, ramię do ramienia, kolumnami ciągnęły tłumy śpiewając marsyliankę, którą teraz we Francji wpraw z Farbacha „Nikola Polka“ rano i wieczór co dzień śpiewać można.

Około godz. 9. pojawił się w powozie Gambetta i ledwie wśród tłumów jechał krok za krokiem. *Vice Gambetta* rozlegało się bez przerwy i z pewnością ulubieniec mas, jest dziś wyłącznym prawie celem wszystkich uwag. Gambetta jest osobieństwem Rzeczypospolitej, a jego imię jest identyczne w wyrazem: *Republique*, w wyobrażeniu prowincji on stworzył republikę; nie jest on dla nich prezydentem Izby, jeno „panem“ Gambetta, wielkim Gambetta. Kiedy Gambetta przyjechał, w tłumie pokazał się Grevy, wśród frenetycznych okrzyków: niech żyje Rzeczypospolita, niech żyje Grevy, niech żyje prezydent! Na łagodnej twarzy Grevy rozlały się był wówczas lekkie uśmiech. W ręku miał kapelusz, którym dziękował, posuwając się zwolna spacerem ciszających się tłumów.

W pochodzie z pochodniami brali wszystkie stowarzyszenia Cherbourg'a udział i żołnierze. Był to raczej pochód z lampionami, które-ma towarzyszyły marsylianka, okrzyki radosne ludu po obu stronach ulicy, i czerwona tona nad światłami stabarwnych lampionów. Na Place d'Armes, około którego wznosiły się przesuwał się pochód, w ciemnościach nocy, na tle cichego morza i czarnych światłeczek migających statków — zrywał się na spikowym ramaku posąg Napoleona I, słuchający okrzyków na cześć republiki i tryumfujących marsylianki tonów....

Ciekawym punktem tej uroczystości były edwiesziny trzech prezydentów, ministrów i zaproszonych gości w tamach zatoki cherbourgskiej.

Tama zbudowana z olbrzymich wałów kamiennych ciągnie się w szerszej zatoki i chroni ją wraz z dwoma fortami, które po prawej i po lewej wynurają się pojedynczo z wody. Nieprzyjacieli musiałby wpróż zmąsić do milczenia armaty tych fortów, zanimby się dostał do wnętrza zatoki, a potem zwałobyby musiał różnorodnie szanice i forteckie ławce, a przede-wszystkiem groźną twierdzę „du Roulle“. Cherbourg jest silną fortecą.

Około g. 10. odbiła nasza mała flotyła od brzoza. Przedem szła łódź prezydenta okryta namiotem, za nią druga taka sama z innymi dygnitarzami, a z tyłu mnóstwo szalup i łódek różnego kształtu i rozmiaru. Przejżdżając koło olbrzymich pancerników, uczuwalismy z naszej niskiej szalupy największy respekt dla tych moczarnych morakich. My chudopacholki pojaliśmy dopiero nasza niskość i małość, ujrawszy na szczytach tych kolosów nad naszymi głowami wiszące olbrzymie łodzie, podobne do tych, które-mi plynaliśmy, wiszące w górze jak małe dziecinne zabawki!... Wrócić wyładowaliśmy wszyscy, stałem obok trójki męłów, którym Francja honor republiki powierzyła. Gambetta jest do brzoza zbudowany i dosyć otwarty; na twarzy ru-

man, rysy ma trochę strzyżone, jak ten, co patrzy w słońce, a to dlatego, bo prawie całkiem prawie zamyka i ma trochę przekrzywione usta, w skutek tego wejrzenia lewego oka ma w sobie coś dziwnego, czego opisać nie można i tylko widzieć trzeba. Oko to jest koloru brunatnego, a kończy włosy i zarostu, który jest równie brunatny, oddawa posiadał, choć Gambetta skończył już zaledwie rok 42. Gambetta robi wrażenie tegoż adwokata, ale nigdy wielkiego człowieka, jakim ma być w istocie. Głowa zwyczajnego kształtu. Kiedy mówić ożywia się bardzo. Kiedy Jauriquiberry, minister marynarki, tłumaczył wszystko Grevyemu, Gambetta wymachiwał z lekką laską i nie zwracał na to najmniejszej uwagi, jak ten, co zdaje się bez tego rozumieć dobrze, o co chodzi.

Dopiero kiedy minister wskazując olbrzymi fort „du Roulle“, podziwiał geniusz Vanbana, rzekł Gambetta ironicznie: „Le génie était toujours bienfaisant.“ Prezydent zaś przyśluuchiwał się wszystkim elukubracjom p. ministra z łagodnym, poważnym i spokojnym uśmiechem, starał się i ówdzie pytania, przyczem wcale nie starał się ukryć, że nie zna się wcale na sprawach marynarki. Trzecim był Leon Say, spoglądający na wszystkie ciakawem, różowem obliczem finansisty o przyjaźliwym wejrzeniu, ożywionem swymi wąsami i muszką. Rola jego w czasie uroczystości cherbourgskich była najniejsza. Ząd lud ma wiedzieć o prezydencie senatu. Cherbourgcy wiedzieli, że przyjechał do mnóstwo, między nimi Gambetta jako osoba, Grevy jako pojcie, a Say to ani jedno ani drugie... Lud potrzebuje jednostek; sprowadza wszystko do jednego mianownika, a tym jest zawsze człowiekiem, który nim umie kierować. Dziś jest nim Gambetta.

Przedlicznym był powrót do miasta. Pancerniki ustawiły się w klin, różnobarwne flagi falujące od kadłuba do mnóstwo, od mnóstwo do kadłuba, lekko i powiewnemi festonami ostatnio niebotyczne statki. Na rejach wielole obłopy okrętowy, tworząc tywe spalary. Liny listna siecią otaczały olbrzymie maszty, a kiedy prezydent na łodzi swej zbliżył się nieco do pierwszego okrętu, rozpoczęła się straszliwa kanonada.

Marynarka wita prezydenta Rzeczypospolitej. Z czarnych paszczy kadłuba zieje czerwony ogień. Gęsty dym tłoczy się szarami i czarnymi smugami po drążących falach morza. A jakby z tej chmury wylatuje straszliwy huk wstrząsający do głębi. Strzał pada po strzale, kłęby dymu zasłaniają olbrzymie statki, których bandery zaledwie widne a szczyty masztów.

Po zwiędzeniu arsenału, o godz. 1/3 Jauriquiberry przemówił do prezydenta Grevyego, na co Grevy odpowiedział sympatycznie i przychylnie, zapewniając marynarkę o opiece rządu.

Kiedy wreszcie gotowano się do powrotu, zagrzamyli znowu okrętowe działa, a poronicki okrętowy zwróciwszy się do marynarzy, zawołał donośnie: *Vive la république, vive Grevy!* a sześć kroków powtórzono okrzyki zdawały się być głębszymi od huk walcących armat. W czasie powrotu wszystkie tamy i wady napełnione były ludem i robotnikami portowymi, i przejeżdżaliśmy wśród okrzyków: *Vive la république, vive Grevy, vive Gambetta!*

Wieczorem odbył się wspaniały festyn w stylu weneckim, na małym doku handlowym. Statki oświetlono lampionami, co czarowny przedstawiło widok; hucie okrętów błyszczą barw tysiącami, na tło nocnej ciemnej wyszły się z roziskrzonych wód jak kryształowe pałace iluzji-mowane Neptuna ręką. Najpiękniejszą była biaława tryumfalna ze świateł, odbijająca się w głębiach czwartej wody. Ogień bengalskie na ruchomych szwielnych łodziach, ogień sztuczne i rakiety w tysiącnych barwach i kształtach wśród frenetycznych okrzyków radości i patriotycznego uniesienia ludu i wojska zakończyły uroczystości dnia tego.

We wtorek dano o godzinie 7. bankiet dla prezydentów. Uczta była wysoce poważna, i wszyscy w wielkiem znajdowali się podniesieniu ducha. Przemawiano wiele. Mer Cherbourg'a wniósł toast na cześć prezydentów. Dachowieństwo znalazło się bardzo taktownie i pojednawczo. Wiele księży było na bankiecie. Grevyema proboszcz z Carntau wyczuł adres tej treści: „Panie prezydencie, duchowieństwo uznaje z pochora najwyższą władzę, której je wola Boga poddała; dlatego kościół tuszy, iż rząd nie od-mówi swej opieki jemu i katolikom bez wyjątku.“ Grevy odpowiedział, że cieszy go to bardzo. Kościół zaś niema się czego obawiać, gdyż stoi pod opieką prawa.

Ziemię polskie.

W kwestji zaprowadzenia nowej ordynacji powiatowej w W. ks. Poznańskim pisze Posnerka, że prowincja poznańska, a zwłaszcza niemieccy jej mieszkańcy wielkie z projektowanej ordynacji odniosą korzyści, leca pod warunkiem, aby szczególne rękojmie, na które rząd

z pewnością się zgodzi, nie skłoniły partji liberalnej do odrzucenia tego projektu, i aby samorząd nie nakładł na związki powiatowe ciężkich obciążeń pieniężnych.

Największą przeszkodą powiada dalej Posnerka przy zaprowadzeniu ustawy, stanowiłoby ograniczenie wójtostw (Amtsbezirke) i wybór wójtów (Amtsvorsteher). Posnerka tymczasem nie może się przekonać, że w tym kierunku inne są stosunki w Poznańskim, jak w innych prowincjach. Ograniczenie wójtostw da się tem łatwiej w przyszłości przeprowadzić ze względu na istniejący już podział powiatów na obwody. Do sprawowania funkcji wójta znajdzie się też w prowincji poznańskiej przysposobienie równie odpowiednia osobistość w każdym wójtostwie, jak się znajdzie w Prusach Zachodnich i na Górnym Śląsku. Wobec ciągle wznoszącej się germanizacji prowincji i wobec nbywania polskiej więkzajz własności ziemskiej, co też konstataują Polacy, znika coraz bardziej obawa, by w reprezentacji powiatu narodowość polska miała uzyskać zastraszającą przewagę i „to ze szkoda ogółu.“ Zresztą nie tak dawno to czasy, kiedy na pewnym sejmiku powiatowym większość polska dobrowolnie przyznała Niemcom odpowiednią liczbę członków, aby przez bezwzględne postępowanie nie prowokować możliwych na przyszłość represaliów. Mimo to jednak przemawia pismo, nawiązujące się liberalnem, na tem, aby zaraz w początkach połowy szranki majoryzowania Niemców przez Polaków. A więc nawet w powiatach, w których Polacy tworzą większość, ma się Niemcom dopomóc do uzyskania satysfakcyjnej większości. Jak takie domaganie może się pogodzić z zasadą, że prawo równem jest dla wszystkich, to tylko rzekomo liberalna Posnerka może o tem wiedzieć.

My Polacy, pisze Kur. Pozn., nie spodziewamy się, aby mająca być zaprowadzona ordynacja powiatowa, przyniosła nam wielkie korzyści. Tylekrotnie już bowiem przekonalismy się, że na ziemi polskiej pod panowaniem pruskim rząd podejrzliwym spogląda okiem i że rzadko przyzna im jaką koncesję, a to z obawy, aby polonizm nie zadławił germanizmu. Jakkolwiek *Pos. Zg.* w ostatnich czasach kilkakrotnie naraziła się na nagany sfer rządowych, to jednak nie przestaje występować przeciwko żywo polskiemu i jaknajwiększą satysfakcją. Nawet w kwestji takiej, jaka jest zaprowadzenie nowej ordynacji powiatowej, wietrzy ona wielkie dla sprawy niemieckiej w W. ks. Poznańskim niebezpieczeństwo. Wedle zabawnej jej logiki, Polacy, mający nawet większość w niektórych powiatach, winni być unioszonymi sługami napływowej ludności niemieckiej, powinni płacić podatki, ponosić ofiary z krwi i mienia, ale nie mogą domagać się praw, jakie przysługują reszcie ludności.

Wedle naszego zdania samorząd, o którego zaprowadzenia donoszą różne pisma, będzie dla nas Polaków czczą formą, bez praktycznych następstw i praktycznej doniosłości. Wątpimy też, aby rząd chciał się pozbryć owych policyjnych komisarzy okręgowych, którzy o kilkudziesięciu lat baczną mają oko na postępowanie ludności polskiej.

Bądź jak bądź, sądzimy, że postawie nasi w razie przedłożenia przez rząd nowej ordynacji powiatowej zabierają w tej sprawie głos, i domagają się będą równoprawności ludności polskiej z żywo niemiecką.

Ten sam dziennik donosi ze Słape, pod d. 13. lipca co następuje:

„Aby wam dać jakie takie wyobrażenie o fałszowaniu historii przez Moskale nietyko po piśmie publicznym, ale nawet w świątyni Pańskiej z ambony, i to przez ich biskupa, posyłał wam tę małą korespondencję.“

W dzień 23. maja rb. biskup szymatycki warszawski Leoncjusz, poświęcał nowo odwieśzioną cerkiew tu w Słapey. Byłem przy całym tym obrzędzie i słyszałem kazanie, jakie ów biskup przy tej okazji wygłosił po moskiewsku. Nie byłbym go podawał do druku, gdyby go w pierw nie był wydrukował dziennik gubernialny kaliski w lipcu rb., bo sądzim, że biskup nie pozwolił, by jego kłamstwa, które-mi znieważa i świętości katolickie, swój charakter i swoją wiarę na takie brednie pozwalającą, głośno po całym świecie. Ale kiedy je on drukować kazał, niechże więc i cały świat wie, jakie to Moskale jest pojęcie prawdy i świętości kościoła.

Oto słowa kazania w wyjątku: „Niniejszy obrzęd nasz przypadał na dzień świętych pamięci i cxił apostołów słowiańskich św. Metodusza i Cyryla. Przypadkowe to ale ważne zdarzenie. Dziś bowiem cała Moskwa i wszystkie kraje słowiańskie prawosławne, obchodzą uroczystość ich pamięci, jako męłów równych apostołom. Oni są blucy nam prawosławny! są bliży i tej ta okolicy. Bogosławieństwo bowiem ich słowa dobiegło i Moskale tak samo, jak się rozszło po Czechach, Morawach, Salszku i Bułgarii w języku słowiańskim. I w tym ta kszakku tak samo jak po ca-

łam Powiśla i dopływach tej rzeki głoszone chrześcijaństwo w języku słowiańskim i to prawosławne, a służbę Bożą odbywano po kościołach w słowiańskim języku. Długo c wiele później, po wielu intrzygach i uciążliwych zastąpieniu w końcu językiem łacińskim. Leca, jeżeli sta-rożytność znaćy coś w historii chrześcijaństwa i w służbie Bożej, czema zaprzeczyć nie można, to czyż nie słusznie wnosimy, że tutaj nie-szkadły poruczywszy naukę i służbę Bożą, słowiańskich apostołów, tem samem porucili prawdę? I czyż nie słusznie bolejemy nad tem od-lączeniem się naszej braci z krwi od naszego wyznania i naszej liturgii?

Nowotki te kościoła rzymskiego i dogmatyczne i obrzędowe położyły tamę taką między rodzynami braćmi z krwi, że ja tylko przemysłowcy (my byśmy powiedzieli waszochmurność, ale Moskale inaczej Boga awaśają) Boska usnąć zdoła.

Lecz prawda jest u nas tylko! w prawo-stawianiu za nami mówi cała historia chrześcijaństwa ona popiera prawdziwość naszego wyznania!..“

Ze Karkowy i Pogodny brednie piszą, że się wybacza, bo papier cierpliwy, a na głupotę nikt jeszcze lekarstwa nie wynalazł. Ale że biskup w świątyni pańskiej, z miejsca prawdy, z którego tylko boska nauka lud słyszeć powinien, takie fałsze wygłasza, to zgroza!

Słów nie starczy na opisanie niedoli gór-nego Ślązaka i tego apustoszenia, jakie nagle 40 z górą osad spotkała. Wszystkie pola, które tego roku obfity plon obiecywały, zamieszane, mnóstwo domów i chat zwalonych, wielka ilość dobytku i trzody poszła z wodą, drogi pozale-wione, komunikacja poprzerywana. Okropne położenie, w jakim się nasi bracia na Górnym Śląsku znajdują, jest tem więcej oplakane, że zaledwie zdołali przeżyć ciężką zimę przy pomocy jałmużny, a oto znowa się stali sebra-kami.

Już w r. 1876 zapyły się kry lodu na O-drze, i spowodowały wylew na kilkomiłowej przestrzeni. W ówczes zabrał się rząd do re-gulowania brzegów Odry, alegając partia po-wszechnego wołania prasy i ludności. Wszelako minęły trzy lata, a zaledwie rozpoczęto prace, tak bardzo potrzebne. W tam nagle weszła Odra w czerwiec 1879 r., zniszczyła wale i miasteczka na kilka mil, wyjąłowała urodzajne pola.

Zabolała ludność tych okolic, nie uratowała nie przy ponownej tej klęsce, a głód i za nim idące choroby najrzały jej w oczy. Na głos roz-paczki popiepszyli zewsząd ludzie z pomocą i śląscy bracia nasi mieli sposobność przekonać się, kto im w potrzebie najwięcej okazał ży-cielności. Wreszcie przyszła i rządowa pomoc i było przysposobienie za co obciążała.

Zaledwie jednak siewy zostały pokończono, gdy w miesiącu marca b. r. znoua Odra załała okoliczne pola. Woda stała przez kilka dni na zagonach i niewiele została nadziei rolnikom. Wszelako w skutek pięknej pogody, która się w maju, czerwca i lipcu uśmiechała, zzieleniły się nadszpodziwianie piękne wyjąłowane niwy i ludność sząkana tyłu kłękami nabrała nowej otuchy i chęci do pracy, pokładając nadzieję w rybkę i obfite żniwa.

O powodzi nikt nie myślał, woda w Odrze stała bardzo nisko, gły w tem nagle w nocy z 6 na 7 b. m. arosła woda na 5 metrów, doszła wysokości niebywałej i powódź, jakiej pamięć ludzka nie wieg, rozszalała niszcząc fale na nieszczęśliwą śląską ziemię.

Wobec tego, kłóty się dsiwili, że powsze-chny głos się podniósł z wołaniem, aby rząd nie zwlekał dłużej z naprawą i sprowadzeniem brzegów Odry, jeśli nie chce, aby ludność całej wielkiej prowincji z głodu i niedostatku zmar-niała.

Niektóre też miasta, jak Kośle, uchwałyły wobec tej ponownej klęski, wysłać odnośnej petycji, którą samierza przez wszystkie instancje przeprowadzić. Nie wątpimy, że inne miasta uczynią to samo, i że sejm sam z własnej inicyjatywy wywrze presję na rząd, aby palącą tę sprawę przyspieszył. Jeśli do przyszłej wiosny nie się w tej mierze nie stanie, wtedy możemy się ponownej klęski spodziewać, a wszelkie składki i subwencje rządowe pójdą na Ślązak, jak w beczkę Danaid.

Krośka młostowa i zamłostowa.

Dnia 13. sierpnia.

* Podrób cesarka wywołała u nas ożywiony ruch handlowy polskimi starożytnościami. Lite pa-ny, karabele, spinki, guzy itd. ogromnie podkre-czyły w cenie. Dalszą pędien jagomości ofiarował 200 zł. za ćwierć litrego pasa. Stroje pelkie są-je po wszystkich pierwszorzędnych naszych prze-cowniach krawieckich, niestety jednak, jak się do-wiadujemy znaczna część naszego obywatelstwa wiejskiego każe robić sobie kostiumy we Włed.

— Gwałtu gór! nie zniesie — raczej zginie!
— To mu synpą złota!
— Złota? — zawołał mój ojciec z pewnym ro-dzajem oburzenia. — Alboż dożyliśmy już czasów przekupstwa i zdrady? Alboż syn wolny gór i potoków, przestał już być orłem? Alboż przywara mieszkańca nizin, wkradła się już do jego szlachetnej natury? Złota! powiadałeś Georgi. O! nie przyjmie on złota z rąk wroga! Odepchnie ze wzgardą. Pod nogami zdepcie! Nie rzucaj! — bo to są bracia nasi — i nasi obrońcy!
— Bodajby się sprawdziły słowa wasze, dostojny książę! — rzekł z kornem uszanowaniem Ipsylanty. — Troskliwość o wasze bezpieczeństwo nasnęła mi po-dężenie i obawę. Imię wasze, głośne tyloletniemi za-targi z Turkami, tkwi głęboko w pamięci Kara-Mustafy. Bogactwa zamku waszego, alboż to nie lep dla jego pożądliwej chciwości? Żeście mu książę na myśli, to pewna. Ze mu przyjdzie chęćka zemsty i zdobyczy — nic w tem niepodobnego. Ze wszelkich gotów będzie użyć środków dla dopięcia celu — rzecz bardzo natu-ralna. Nie należy więc ludzi siebie zbytecznie, niepo-dobieństwem podolać przeskodom, jakimi was ob-warowała natura. Silnemu, co chce mocno, nie ma nic niepodobnego. Nie gwałtem? to złotem! Nie złotem? to namową — zręcznym wyzyskaniem zawiści kryjnej, lub niechęci. A są tacy, dostojny książę, co zardozęca tobie. Są i być muszą! bo taka ludzka natura. Skoro więc są, znajdzie się pomiędzy nimi i nienawiść i zdrada!

— Wytlómacz się jaśnie! Uważam, że masz kogoś na myśli....
— Spełnij wolę waszą dostojny książę! — rzekł z korną uległością Ipsylanty. — Mam rzeczywiście kogoś na myśli....
— Nazwij go!
— Andreana Bibasko.
— Co z tobą? Jaktó — on miałby trzymać z Tur-kami przeciw nam?...
— Nie zarezczę, że tak jest — ale dopuszczam że tak być może. Człek nie do dobry, podstępny, mści-wy, Nie pogardzi żadnym środkiem, byle postawić na swoim. Nie poszanuje swej osobistej godności, bo jej nie posiada. Słowem gotów na wszystko — a żeście mu książę, odmówili ręki czcigodnej córki waszej, wre zatajona nienawiść ku wam, i bodaj czy nie poda sam Turkom myśli napadu i nie ułatwi takowego.
Długo jeszcze biegła rozmowa po tym przedmio-cie. Późno już było. Odłożono więc użycie środków o-stróżności do jutra i udano się na spoczynek. Mój na-rzeczony odjechał do siebie, niespokojny i smutny. Wrócić oniemiał zamek jak mogła, bo wszystkich sen głęboki ukłosał. Jednej mnie nie marzyło się nawet o spoczynku. Niewiem, przeczuć czyli po prostu wraże-nie z rozmowy wieczornej pozostało, ale się uspokoić nie mogłam. Przyjawszy błogosławieństwo matki mojej i ucałowawszy jej rękę na dobranoc, udałam się do przyległego pokoju, który był moją sypialnią, i wycho-dził oknami na obszerny amfiteatr gór, przeciętych sie-dmiogrodzkiem gościem i okolonych pienistym korytem

rzeczki, co po kamieniach szumią. Na wyżynie skali-stej, panującej nad gęstwiną leśnych zarosli, stał za ową rzeczką, w niedalekiej od nas mecie, zameczek księcia Georga Ipsylantego. Widno mi było, jak w oknach mi-gało ruchome światło. Śnać czuwał jeszcze, i przebiegał frontowe komnaty. Stał w końcu światła i pozostało odtąd nieruchomem. Całą przestrzeń pomiędzy naszym zamkiem i księcia Georga, głęboka ciemność zaległa. Jedyne-mi jej gwiazdami były nasze dwa przeciwległe światła, rzekłby kto, dwa jasne doła twiłego stosun-ku, jaki nas połączył na wieki. Noc była tak cicha, jakby wszystkie brzmienia natury nagle zamarty, oprócz jednego tylko, wód rzeczki. Usiadłam przy oknie, i pi-jąc świeżo to powietrze, pograżałam się w dumaniu. Przeszłość moja, pogodna była i jasna. Kochałam ro-dziców moich, kochałam braci i wzajem od nich kocha-na, czegoż więcej żądać mogłam? Bywały wprawdzie chmurki i na mojem niebie. Bywały dni smutku dla mnie, też gorzkich dla matki, kiedy na wieść o gwał-tach janczarów tureckiego baszy, ojciec mój pośpieszał z braćmi w góry, obrońcą biednego ludu, mścicielem krzywd jego. Nieraz dui kilka nie wracał. Nieraz zgłębł walki i odgłosy wystrzałów dolatywały do nas zdaleka — a kiedyśmy, razu jednego, wybiegły z matką nad rze-czkę zaczerpnąć chłodu w dzień skwarny, woda jej była czerwona — krwią bryzgi piany strzelały — i przera-żone, zapłakaliśmy gorzko. Lecz jaką za to byłała ra-dości nasza, witając z powrotem ojca i braci moich! Czola ich rycerskie jaśniały dumą zwycięstwa — spo-kojem dopehionego obowiązku — a czerwien barwien stał mieczów świadczyła, że nie próżnowały w ich do-

ni. Z lat nbiegiem wszystko się jednak zmieniło. Ojca, starość przygniotła — bliźni osłabły. A do tego, spo-kojnij się zrobiło w kraju. Ustały dawne zamęty i gwałty tureckich siepaczy. Uchylły zatem zatargi i boje, Z odmianą rzeczy krajowych, innym się też i zamek nasz ożywił duchem. Przestał być surowym i groźnym. Stał się uprzejmym i gwrotnym. I jam też nie była ta co dawniej. Z dziecka wyrosłam na dziewczę. Młódz dostojniejsza kraju zbiegła się poczęła do nas. Nastaly solenne uczy, łowy, gonitwy rycerskie, na których ob-wyływana królowa, zręczniejszym, z rąk moich rozdawa-łam nagrody. Wiedzano, że-m córą bogatych rodziców. Mówiono że-m... nieszeptna. Cóż dziwnego, że się nasz zamek coraz więcej gości zaludniał? Stefano Filipko i Andreano Bibasko, najmłodsi z spadarów Mołdawii zaczęli jednocześnie dobijać się mojej ręki. Obydwa byli mężni, w ćwiczeniach rycerskich doskonali, dumni z po-ctgi i rodu, zanao nawet dumni, co ich czyniło szorst-skimi, nieprzyjemnymi w obejściu, i odstręczało od nich każdego. We mnie, wzbudali oni strach niewolny, podobny do wstrętu, jakiego doświadczamy w obec ja-dowitego gadu. Najukładniejsze ich zaloty, miały w so-bie coś imponującego i dzielnego, a głos, kiedy mówili, napominał ostre dźwięki trąby albo łowieckiego rogu. Obydwa przekroczyli już metę pierwszej młodości, i zbli-żali się ku jesieni wieku. Pewnego dnia wszedł ojciec niespodzianie do mojej komnaty, i ucałowawszy w czoło swoim wywołał, rzekł:

(C. d. a.)

